

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9

róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.

Sprzedaż materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

3

Bez troski o tem, co o nim mówią, nie zwracając uwagi na służącą, która mu otworzyła drzwi, udał się wprost do pokoju Ludwiki.

Wszedł. Młoda panna, siedząc na krześle, odkryła twarz, którą zasłaniała rękami. Oczy miała suche i wydawała się jak gdyby osłupiała. Pani de Lagunan oznajmiła jej, że jutro musi opuścić ten dom.

Nieszczęśliwa na widok Piotra podniosła się i zrobiła ruch, jak gdyby chciała biec do niego, by wziąć ją w swą obronę.

— Piotrze! — rzekła. — Pan wie już?... Te listy!... Ach!... Ocal mnie! Ja...

Zamilkła nagle; młody człowiek bowiem patrzył na nią wzrokiem ostrym i smutnym.

— Chciałem widzieć panią po raz ostatni... — odezwał się po chwili. — Jestem tak nędzny...

— Piotrze!

— Tak panią kochałem! — mówił dalej Piotr stłumionym głosem — tak, chciałem panią ujrzyć jeszcze, jak gdybym chciał tego, by pani nie należała już do żyjących...

Pierś Ludwiki podnosiła się konwulsyjnie.

— Boże mój! — jęknęła.

— Więc pan sądzi...? — zdołała z trudem wy-mówić.

— Proszę nic nie mówić... Niech pani pozwoli popatrzeć na siebie... Potem odejdę.

— Lecz ja nie wiem, co to są za listy! Ja nie wiem! To nie moje! nie wiem, skąd się one u mnie wzięły!

Załamываła rozpaczliwie ręce.

Piotr rozmyślał:

„— Komediantka! Komediantka jak wszystkie inne! Ach, to straszne! Czuje, że już jej nie kocham, a bez tej miłości nie mogę żyć!“

Spojrzał jeszcze raz na nią i rzekł:

— Żegnam!...

Żegnał nie młodą pannę, lecz żegnał swą zmarłą miłość.

Twarc Ludwiki skrzywiła się spazmatycznie... Jej wielkie, szare oczy zamknęły się. Piotr wychodził.

W chwilę potem zatrzasnęły się za nim drzwi pa-lacu baronostwa, a jednocześnie baronowa wchodziła do salonu.

Oczekiwał ją Maksym Duret.

— I co? — zapytał.

— Poszedł. Słuchałam pod drzwiami przez cały czas i nie straciłam ani jednego słowa.

— Jak się to odbyło?

— Jak nie można lepiej.

I Lucya de Lagunan powtórzyła rozmowę, jaką prowadzili z sobą młodzi ludzie.

— Doskonale! — rzekł spokojnie Maksym Duret. — Obecnie musimy zatrzeć tylko ślady naszej operacji.

Wziął z konsoli paczkę listów i zbliżył się do kominka.

— Chcesz je spalić? — zapytała baronowa.

— Naturalnie. Pisma mego nie poznał ani Radoux, ani Piotr, doświadczeni jednak od nich mogliby domyśleć się... Nie można przechowywać podobnych dokumentów...

I Maksym Duret rzucił je do ognia. Potem wyjął z kieszeni portfel i dobył z niego karty wizytowe z nazwiskiem Karola Turnera.

— Resztę ze stu, które kazałem sobie zrobić, już zniszczyłem — rzekł. — Pozostały mi się tylko te.

I dorzucił je do listów w kominku.

— Tyś powinna to samo uczynić — dodał — ze swym kapeluszem z fiołkami i innymi drobiazgami, których używałaś, chodząc na ulicę Godot... Nigdy nie można być dosyć ostrożnym...

— Masz rację...

— A teraz, kiedyśmy skroili, należy szyć i to szyć prędko... Kamilla musi jak najprędzej zostać panią Piotrową Cartelegue... Dopóki małżeństwo nie zawarte, nigdy nie można być go pewnym... Miałś tego dowody.

— Istotnie... Na myśl mi nawet nie przychodziło jeszcze przed dwoma tygodniami, by Piotr mógł się zadurzyć w naszej nauczycielce!...

— A gdybyś tego nie spostrzegła zawczasu, bardzo możliwe, że teraz byłoby już za późno interweniować... Sprawa jednak załatwiona!... Przeszkoda usunięta!... Nie czekajmy, aż zjawi się jaka inna... Za miesiąc lub za dwa, smutek Piotra minie i wtedy wyznaczmy dzień ślubu...

Baronowa potwierdziła głową.

— A jeżeli Piotr uczyni jak Julian? — szepnęła.

— Ech! — odpowiedział prezes. — Powtarzam ci, że dwa razy nie trafia się na takiego Juliana! Bądź spokojna! Do widzenia, do jutra!

I uściśnął przytem rękę siostrzenicy tak spokojnie, jak gdyby się nic nigdy nie zdarzyło.

— Do jutra zatem! — powtórzyła baronowa.

Maksym Duret wyszedł. Gdy zatrzasnęły się za nim drzwi wchodowe, pokojówka oparta, o stół w kuchni, zwróciła się do Alfreda.

— Ostatni gość już poszedł.

— Czas więc, oym i ja to uczyni! — odparł „extra“.

Kończyli we trójkę swój obiad.

— Jakto? Chce pan już iść? — zaprotestowała kucharka.

— Czy nie ma pan może czasu? — zatrzymywała go pokojówka.

Obiedwie były jak gdyby zahipnotyzowane przez „extra“. Nigdy jeszcze nie miały tak miłego towarzysztwa. Pokładały się od śmiechu z jego dowcipów i rumieniły na przemian, gdy uczuwały pod stołem, jak śmiało ich dotyka swą nogą.

— Już jest w pół do jedenastej — tłumaczył Alfred.

— Musimy jeszcze napić się ponczu — zapraszała kucharka.

— A możebyśmy tak zagrali w karty? — proponowała Małgorzata.

„Extra“ jednak wstał.

— Jesteście bardzo mile moje panienki — mówił do siebie — czas jednak Ernesta Panajona jest droższy, niż sądzicie... A zresztą nie mam już tutaj co robić... Dzięki waszym skazówkom i memu sprytowi znam pałacyk, jakbym go budował, a w kieszeni mej znajduje się już pół tuzina odcisków zamków... Do widzenia!“

Kładł na siebie zarzutkę i kapelusz. Obie kobiety nalegały jednak:

— Panie Alfredzie! Niech pan zostanie jeszcze chwilę.

— Nie mogę! Proszę mi wybaczyć. Jest mi bardzo przykro.

Uśmiechnął się, ścisnął je czule za ręce i dotarł do drzwi kuchni. Obie jednak służące nie opuściły go aż dopiero na ulicy i z utęsknieniem śledziły oczami. Dojrzały też, jak się zatrzymał pod latarnią.

Alfred wyjął kalendarzyk kieszonkowy i przeglądał go.

— Dzisiaj mamy 4 lutego — wyliczał. — Przez dwa tygodnie wszystkie następne noce mam zajęte... a nawet 18 mam dwa miesiące do obłupienia, kokoty, u której wczoraj szukałem do obłupienia, kokoty i akademika, gdzie brodawka na five o'clocku 19 lutego jestem wolny przy obiedzie... Dopiero

Wyjął ołówek i pod datą zapisał: „Ulica Ampère, liczba 49. Potem ruszył szybkim krokiem na-przód, mruczając do siebie:

— Tutaj jednak będzie nie obłupienie, lecz prawdziwe złupienie!... Wejść głośno i otwarcie, nie skrywając się wcale, poznałem bowiem historyjkę, którą zamknę buzią każdemu, kto mnie nazwie włamywaczem!

III.

W dwa dni potem, Piotr Cartelegue znalazł się już na otwartym morzu, płynąc na *Provence*. Jechał do Nowego Jorku.

Gdy przyszedł do domu, rodzice tak byli przestraszeni jego zrozpaczoną miną, iż nie czynili mu żadnych wyrzutów. Na drugi dzień jednak rano ojciec prosił go, by bezzwłocznie pojechał do Stanów Ameryki, gdzie zamierzono otworzyć nową fabrykę. Od dłuższego czasu pragnął Cartelegue dla uniknięcia płacenia wielkiego cła od swych samochodów, wwożonych do Ameryki, założyć na miejscu swą fabrykę. Teraz nadeszła odpowiednia chwila. Wrażenia długiej podróży i zajęcie budową fabryki, ułagodzi zapewne ból biednego króla stu dwudziestu koni.

Teraz stał Piotr oparty o poręcz okrętu i przyglądał się burzliwemu morzu. Marzył. Oczy jego nie widziały zielonych fal, które kołysał zachodni wiatr. Zamiast przestworza, miał przed sobą obrazy przeszłości. Poznał Kamillę zupełnie młodą i ośmieszoną zawiązała się między nimi serdeczna przyjaźń. Skorzystali z tego ich rodzice i oddawna już postanowili połączyć ich węzłami małżeństwa. Związku tego pragnęli bardzo baronostwo Lagunan, nie świetnie stojący pod względem majątkowym, jak również i Cartelegue'owie, milionowi fabrykanci, którzy chcieli gorąco związać się z rodziną barona, jedną z najstarszych rodzin francuskich. Lecz oto w dwa, czy w trzy tygodnie po uroczystych zaręczynach, Piotr zakochał się niespodzianie w nowej nauczycielce Kamilli. Przekonał się wtedy, że dla swej narzeczonej miał zawsze głębokie, lecz tylko braterskie uczucia, nie przypominające niczem tego, jakiego obecnie doznawał.

Zmieszalo to bardzo młodego człowieka, lecz mimo chęci zapanowania nad sobą, zdradził się szybko ze swymi względami dla panny Dubois. Spostrzegł też to wkrótce i Kamilla. Pewnego razu wzięła swego narzeczonego na bok i wprost mu rzekła:

— Kochasz Ludwikę...

Piotr chciał zaprzeczać, lecz młoda panna ciągnęła dalej:

— I masz rację, że ją kochasz! Jest cudowna pod każdym względem. Co do mnie, to jestem gotowa rzucić się w ogień za ciebie, ale nie poślubić cię... Jesteś bardzo miłym i pierwszym szoferem na świecie... To prawda, ale cóż robić? Ja już innego wybrałam sobie na męża!

Piotr stał jak osłupiały po tem wyznaniu, oparł się jednak na tyle, iż wyszeptał:

— Kamillo... Moja droga Kamillo...

Nie miał nic innego do powiedzenia. Chciało mu się jednocześnie śmiać i płakać.

— A kto jest ten inny? — zapytał wreszcie.

— Nie mogę ci powiedzieć, dopóki nie dowiem się, czy mnie kocha... On nie zna mych uczuć... I ja sama nie o nich nie wiedziałam jeszcze przed pięciu lub sześciu dniami... Potrzeba było dopiero tych zaręczyn i nadziei, że zostanę wkrótce panią Piotrową Cartelegue, by spostrzedz, że w głębi mego serca leży pragnienie pozostania panią... Ah! zdradziłabym się!

— A rodzice nasi? — zapytał Piotr.

— Nasi rodzice, co prawda, nie będą tem zachwyceni...

— Trzeba ich zawiadomić...